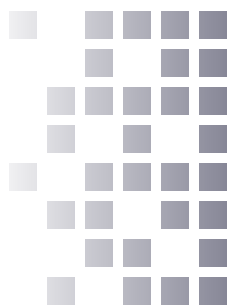




Inwazja Internetu w naszą codzienność zmienia niemal wszystko. W szczególny sposób dotyka języka jako narzędzia komunikacji. Internet jest narzędziem uniwersalnym, ale ujawniają się – już na poziomie języka – różnice kulturowe: na przykład polska „małpka” to rosyjska „sobaka”, a po węgiersku „robak”.

Nowy język i kultura chcą zasiedlić kawałek cyberprzestrzeni, oznakować ją po swojemu. Stary kontekst bywa już nieczytelny, ale dla wielu starszych czytelników nadal się liczy. Jeśli ktoś pamiętający czasy stalinowskie słyszy, że będziemy mieć okablowane społeczeństwo (choć dziś jest już ono w dużym stopniu bezprzewodowe), to będzie to dlań *déjà vu*. W czasach Pawki Morozowa wszyscy kablowali (młodszym czytelnikom winien jestem wyjaśnienie, że Pawka zasłużył się władzy radzieckiej tym, że zadenuncjował ojca, który zachomikował kilka garści ziarna).

Czy nie grozi więc nam zakłócenie kodu komunikacyjnego między pokoleniami? Słyszałem, że dla młodszych anglojęzycznych użytkowników komputera „God save the Queen” znaczy „Boże zasejwuj królową”. Byron Reeves i Clifford Nass w książce „Media i ludzie” piszą, że oprogramowanie mogłoby być bardziej *friendly*. Komputer powinien po prostu nawiązywać sam z siebie dialog z użytkownikiem. Chwalić go, kiedy wykona coś dobrze, powiedzieć albo napisać na monitorze, kiedy ma ochotę się zawiesić – na przykład „przepraszam, strzyka mnie w twardym dysku”. W naszej polskiej wersji może nawet od czasu do czasu



Kazimierz Krzysztofek

profesor Uniwersytetu SWPS, magister prawa (Uniwersytet Jagielloński), dr nauk humanistycznych, dr hab. nauk politycznych (Uniwersytet Warszawski), w przeszłości związany z Instytutem Kultury, Fundacją „Pro Cultura”, Komitetem Prognoz PAN Polska 2000 Plus. Postdoc w Massachusetts Institute of Technology w obszarze badań nad mediami i komunikacją, w latach 1990–2005 członek zarządu Europejskiej sieci badań i informacji o kulturze CIRCLE. Autor publikacji z zakresu teorii zmian społecznych, socjologii pracy, społeczeństwa informacyjnego, socjologii Internetu, nowych mediów i przemysłów kultury oraz komunikacji międzykulturowej.

udawać pijanego i skacowanego, poprosić o jakąś cyfrową namiastkę „alka seltzer”. Wtedy będzie równiactwem.

Od komputera łupanego przejdziemy do gładzonego, który jest miłszy w dotyku. Ale ta humanizacja komputera ma swoje granice: monitor musi pozostać nieporęczny, żeby się gazety utrzymały; a utrzymają się, bo monitorem nie da się zabić muchy.

Mówiąc (nieco) poważniej: literki @ (szkoła języków obcych b@bel zaprasza na kursy) oraz i (*interactive*) stają się częścią nowego kodu komunikacyjnego. Nie mówiąc już o najbardziej uniwersalnej literce „e”. Milionom Polaków jeszcze dwie dekady temu te znaki nic nie mówiły. Ale ten kod zastawia pułapki. Jak mamy nazywać np. szefa sieciowej uczelni? E-rektor? Ale kto wtedy chciałby nim być?

Gdy przed laty napisałem felieton dla pisma „Computer-world” pt. „Polacy nie gęsi i swój lengłydż mają”, przez myśl mi nie przeszło, że ta sprawa może tak nurtować internautów. Dostałem sporo listów. Jak bardzo ta nasza ojczyzna-polszczyzna staje się *lengłydżem*, uświadomiłem sobie po przeczytaniu zapowiedzi telewizyjnej: talk show z dilerem compact disców. Ani jednego polskiego słowa, bo literę „z” można znaleźć w większości języków neolacińskich.

” *Może jednak nie warto eksperymentować z językiem. Jeśli nie oczyści się sam, to nikt go nie oczyści. Język jest jak rzeka.*

Lingwiści nazywają zmianę znaczenia słów deleksykalizacją. Często chodzi już nie tylko o słowa, lecz o całe wyrażenia, którym nadaje się inne konotacje, bo nie zna się pierwotnego. To już pachnie zanikiem kompetencji kulturowych, jeśli licealista kojarzy na przykład piątą kolumnę z systemem akustycznym Dolby. W Ameryce roboty nazywane są *iron collars* (żelazne kołnierzyki) w odróżnieniu od – *white collars* (urzędników, pracowników umysłowych) i *blue collars* (robotników). „Człowiek z cyfr” staje się symbolem człowieka epoki komputera. Co wtedy z przekazem kanonu kultury?

Zabawnie brzmią niektóre wyrażenia epoki komunikacyjnej w zamyśle politycznie poprawne. Na przykład o kimś, kto nie ma na czacie za wiele do powiedzenia mówi się mądry, ale nieinteraktywnie.

„Trącić myszką” brzmi dziś cudownie dwuznacznie. Pierwsze znaczenie tego wyrażenia to coś starego, ale nowe to już „otworzyć kliknięciem”. To mnie po raz kolejny utwierdziło w przekonaniu, że w epoce komputera i sieci można bawić się słowami. Dwuznaczność wzbogaca, ale też trochę komplikuje. Nowe słowa muszą przejść proces leksykalizacji poprzez dłuższy proces komunikowania, zanim wejdą na

stałe do zasobów języka. Przejściowo skazani jesteśmy na zakłócenia semantyczne. Problem z tym miały na przykład systemy monitoringu poczty elektronicznej, które przechwytywały dużo listów po niemiecku (np. Ich BIN eingelADEN, co dla mówiącego po niemiecku brzmi niewinnie: po prostu: „zostałem zaproszony”). Jak w tej sytuacji wymyślić niezawodny web semantyczny, który będzie trafnie odgadywał znaczenie słów? Trzeba mieć do tego Web....

Zmiany cywilizacyjne zawsze znajdowały odbicie w języku. Np. prefiksy e- i i- tworzą nową strukturę języka i nowy słownik. E- miało oznaczać istnienie nowych bytów elektronicznych, „cyfrowych bliźniaków” istniejących rzeczy materialnych, np. ebook. Z kolei i- to znak dalszego postępu, nie tylko rzeczy są elektroniczne, lecz także inteligentne. Zaczęło się od i-phone’a, na końcu będzie i-human. Wszystko musi być smart, nawet i-spluczka, która wie, ile wody użyć, żeby skutecznie splukać zawartość muszli. O samochodach bez kierowcy mówi się i-car, więcej już w nich bowiem sztucznej inteligencji niż mechaniki. To oczywiście nowa generacja takich pojazdów. Drzewiej bez kierowcy mógł się poruszać pojazd w trakcji konnej, gdy woźnica leżał ścięty pod siedziskiem. Sam pamiętam takie pojazdy autonomiczne 1.0.

Język jest więc sygnałem zmian w życiu codziennym. Jeszcze pokolenie wcześniej nie było w polszczyźnie słów – i ich odpowiedników w innych językach – takich jak: czatowanie, tweetowanie, blogowanie, guglowanie, cyberrandkowanie, szerowanie (od ang. *share* – dzielić się). Dzielenie się wiedzą, przeżyciem, emocjami to dziś imperatyw nettera. Oczywiście prym wiedzie lajkowanie. Przyznam, że nie podoba mi się to słowo, podobnie jak polski odpowiednik – polubienia. Najlepszym polskim odpowiednikiem byłoby „lubisie”, bo dobrze się kojarzą, zwłaszcza czekoladowe.

Michał Kosiński, profesor z Uniwersytetu Stanforda, przed laty mój student, opracował wraz z zespołem metodę tworzenia profilu osobowości na podstawie analizy owych lubisów. 300 wystarczy, aby wiedzieć więcej o lajkującym niż jego partner życiowy. Te lajki to jednak żadna nowość, w rzymskim Colosseum też lajkowano (albo dyzlajkowano kciukiem w dół). To jeszcze jeden przykład na to, że nowe to zapomniane stare.

Znaczenia, które się pod nowymi słowami kryją, wypełniają większą/sporą część naszej codzienności. Jeszcze do niedawna kuriozalnie brzmiałoby określenie „dostawca chmury”, a być może w niedalekiej przyszłości będą się o te chmury toczyć wojny.